

PRENUMERATA: w Warszawie kwartalnie 5 marek (za odnośnienie do domu dopłaca się 25 fenig. kwartalnie), z przesyłką pocztową kwartalnie 6 marek

OGŁOSZENIA: wiersz nonparelowy lub jego miejsce na 1-ej stronie przy tekście lub w tekście 2 1/2 mark.; na 1 stronie okładki 1 mark. 50 fenig.; na 2-ej i 4-ej stronie okładki oraz przed tekstem 75 fenig.; na 3-ej stronie okładki 65 fenig. Kronika towarzyska, Nekrologi, Nadesłane po 1 mark. 90 fen. za wiersz. Marginesy: na 1-ej stronie 25 m., przy Nadesłanych 2) m.; na ostatniej stronie 17 m. 50 fenig. i wewnątrz 15 marek. Artykuły reklamowe 437 marek 50 fenigów za stronę. Załączniki zwykłe po 25 marek od tysiąca.

Adres Redakcyi: WARSZAWA, SZPITALNA 12, Administracyi: Krakowskie - Przedmieście 66. FILIA W ŁODZI: Biuro dzienników i ogłoszeń „PROMIEN”, Piotrkowska Nr 81.

ŚWIAT

Rok XII. № 43 z dnia 27 października 1917

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT”. Pod kierownictwem naczelnem Stefana Krzywoszewskiego.



Franc. Tow. Ubezpieczen na zycie „L'URBAINE”
Ułgi na wyp. niezd. do pracy
Filia dla Kr. P. Marszałk. 136

9967 Oddział miejski: ulica Moniuszki Nr. 2.
Biuro Kijowskie: Kijów, ulica Kreszczatik Nr. 48.
Wilno, róg Ś-to Jerskiej i Kazańskiej Nr. 9.

Wydawnictwo Tow. Akc.

S. ORGELBRANDA S-ów

Encyklopedia Handlowa

2 tomy 15028 Opr. Mk. 50.

REWINDYKACJA.

(O KARTON POMNIKA KS. JÓZEFA).

Dnia 19 października 1820 roku podpisano drugi i ostateczny kontrakt z Albertem Thorvaldsenem, mocą którego mistrz duński podjął się wykonać dla Warszawy pomnik ks. Józefa Poniatowskiego w ciągu jednego roku i to pod słowem honoru... Wywiązał się z przyrzeczenia w sposób artystyczny, przedłużwszy sobie termin do 1829 roku!... Kręgi dantejskiego piekła miało przechodzić dzieło Thorvaldsena... Spławione przez Gdańsk do stolicy, rozpoczęło doczesną wędrówkę w schówce odlewaczy, braci Gregoire, przy ulicy Długiej, przetrwało w niej przetworzone w spiz krwawy chrzest powstania 1831 r., poczem, zamiast stanąć przed pałacem namiestnikowskim, musiało iść do piwnic twierdzy Modlińskiej, skąd je wyswobodził dosyć oryginalnie Mikołaj I. Dowiedziawszy się od oficerów o ciekawym depozycie fortecznym, kazał go rozbić (razbić i zapisać w łom) i zmiękł dopiero pod wpływem przedstawień Paskiewicza, któremu wspomniałomyślnie podarował zniechęconego rycerza po to, aby zdołał wejść przed tarasem pałacu w Homlu, własności ciemniejszy i pogromcy Warszawy!...

Główny członek komitetu polskiego, jego *spiritus movens*, generał Mokronowski, prowadził żywą korespondencję z Thorvaldsenem, osiadłym w Rzymie, w sprawie pomnika.

Pozostając pod wpływem klasycznego kierunku, któremu hołdowało Towarzystwo nauk, podsuwał artyście pomysły, podyktowane katechizmem Franciszków Salezych Dmochowskich, ciągle napomynał o piękności Marka Aureliusza na rzymskim Kapitolu, domagał się mienakrywania głowy księcia, aby mógł wyglądać *à la Romain* i koniecznie żądał osadzenia figury na arabie. Skrępowany, zbity z tropu, chwiał się Thorvaldsen między wyborem stroju narodowego a tuniką rzymską, między uchwyceniem momentu zapalu i ekstazy patryjotycznej, — a przykładowym, spokojnym ruchem, godnym postaci klasycznej... Warszawskie wskazania i nawyki „mistrza” do zimnego kunsztu odniosły przewagę i Poniatowski został istotnie skopjowany na Marku Aureliuszu, tak, że tylko głowa ks. Józefa, — a i ta nią była jedynie pozornie — była duchową własnością artysty...

Thorvaldsen potrzebował materiałów, bo jego pojęcia o polskości były żadne. Dla twórcy Byrona, czy hrabiny Ostermann, czy księżnej Bariatynskiej, czy Szyllera, dla niestrudzonego budowniczego pomników ku czci ludzi różnych ras i narodowości, był to tylko obstalunek. Mokronowski musiał tedy dostarczyć wzorów, aby dopiero z nich duński rzeźbiarz czerpał natchnienie do pracy, wyczekiwa-

nej w Polsce, jako objawienie. Via Wiedeń przez bawiącą tam hrabinę Aleksandrowicz przesłał generał do Rzymu „drobiazgi”, specjalnie narysowane przez różnych artystów, nawet szkice z koni, które „książę Peppi” posiadał. Dostał Thorvaldsen także pełny strój polski i płaszcz bohatera.

Najważniejszy wszakże materiał miała zawieźć do Rzymu z Paców hr. Potocka.

Spis jego podał Mokronowski w liście do mistrza z 22 grudnia 1818 r.

1) Litografia z portretu ks. Józefa pędzla Marcellego Bacciarelli. Uważał ją generał za wierną podobiznę wielkiego nieboszczyka.

2) Grawiura „będąca karykaturą, o ile chodzi o konia, natomiast przedstawia dobrze postać nieboszczyka i ruchy, które nadaje rumakowi”.

3) Rysunek Stachowicza, chybiony w całości (opinia Mokronowskiego) i prawie we wszystkich szczegółach, jednakże rzut burki na ramiona tak dobrze przypominał strój i sposób noszenia się księcia, że nie mógł powstrzymać się generał od służenia artyście kartonem.

4) Rysunek Orłowskiego. Poświęcił mu Mokronowski najwięcej uwagi. Wydało mu się, — że personifikacja Elstery w postaci ludzkiej pociągnie za sobą znaczne koszty — o ile miała być podporą konia i dlatego zapytywał, czyby nie można odtworzyć jej w samym piedestale. Głowę konia uznał za mało oryginalną, linię nad mozdrczami za za dużo łukowatą, nie uwydatniającą uroku, cechującego araby. Przesadzoną także była przednia noga, podniesiona do skoku. Również mniemał generał, że figura jeźdźca jest za wysoka i za masywna, a czako na głowie uważał za nakrycie nieodpowiednie, przytłaczające, zakrywające skronie. Ba! panowie komitetowi przez usta Mo-

kronowskiego archaizowali, pragnęli wierności do drobnych odcieni i chcieli mieć w szpiżu... dokument. Raziło ich np. to, że w płaskorzeźbie, wyobrażającej wjazd ks. Józefa do Krakowa w 1809 r., wódz trzymał szablę w ręku!...

5) Celem wyrównania usterek w koniu Orłowskiego, przesłał inny rysunek z koniem Bacciarellego.

W muzeum Thorvaldsena w Kopenhadze udało się nam odnaleźć prawie całość nadmienionych materiałów.

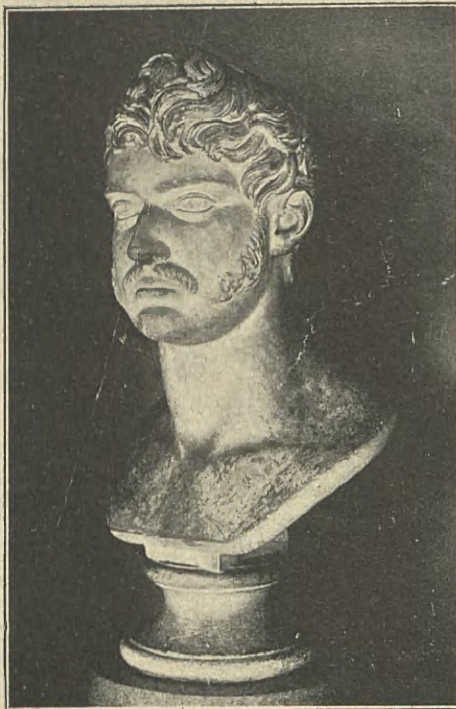
Istnieją zatem:

Ad 1) Litografia z obrazu Bacciarellego, wykonana przez Amalię Kalter, odbita na kamieniu w firmie Grass, Barth i spółka we Wrocławiu.

Ad 2) Grawiura kolorowana z podpisem: „Józef Xiążę Poniatowski, marszałek naczelny wojska polskiego, marszałek państwa francuskiego, kawaler różnych orderów“.

Ad 3) Gwaszowy rysunek Michała Stachowicza. Jest to postać konna „księcia Pepi“ w pełnym galopie, z sygnaturą w narożniku: „Michał Stachowicz, Krakowianin, rok 1818, d. 28 listopada“.

Ad 4) Najcenniejszym jednak zabytkiem jest dość dużych rozmiarów projekt Aleksandra Orłowskiego, malowany akwarelą, naklejoną na płótno, wykonany i wypieszczony w najdrobniejszych szczegółach. Wiadomo jest, że zanim odniesiono się ostatecznie do Thorvaldsena, brano w rachubę jeszcze inne głośne współczesne nazwiska, między innymi Chrystjana Raucha i Camovę. W szrankę wstąpił także Orłowski, głośny, znakomity artysta-malarz, profesor akademii sztuk pięknych w Petersburgu, który nadesłał swój pomysł — kompetencję za pośredni-



Książę Józef Poniatowski.

ctwem ministra — sekretarza stanu Sobolewskiego. Pomysł ten więcej malarski, niż rzeźbiarski, pełen szlachetnej fantazji, wyobrażał księcia na koniu rozgalopowanym, w mundurze narodowym, z buławą marszałkowską w dłoni. U stóp podniesionego rumaka roztacza się sylweta długobrodego starca, opartego lewicą o naczyń, z którego wylewają się strumienie wody, niezawodnie alegoria Elstery. Z widocznym zamiłowaniem i pietyzmem wykończył Orłowski najpodrzedniejsze części składowe, nawet stopnie pod piedestałem, łańcuchy ogrodzenia, herb (Ciołek) Poniatowskich i na osobnych arkuszach odtworzył ornamentacje, jak wyczelowany napis, obramiony girlandą empirową, z orłem u góry: „Gnata patria — Josepho Poniatowski, Anno...“ Na głównej kompozycji znajduje się objaśnienie: „Alexander Orłowski invenit et fecit Petropolj die 11/23 Septembris 1818“.

Chociaż praca Orłowskiego ukończyła w szufladach muzeum Thorvaldsena, jej rzut szkicowy, dosyć szczegółowo wykonany, przechowywany się w muzeum książąt Czartoryskich w Krakowie. (Zreprodukowałam go podpisany w dziele „Napoleon“ etc. str. 320). Pomimo krytyki Mokronowskiego, jest kompozycją Orłowskiego zabytkiem cennym w zakresie artystycznym, pamiątką zaś drogą sercu narodowemu, jako wspomnienie, związane z dziejami budowy pomnika ks. Józefa. Ważność tej pamiątki wzmagają się, jeżeli się zważy, że Thorvaldsen widocznie silną wagę przy-

kladał do dzieła Orłowskiego, robił nad nim baczne i pilne studia. Widoczne to w motatkach rysunkowych, pozostałych po rzeźbiarzu duńskim... Staral się naśladować naszego niepospolitego artystę, iść w jego tropy, — tylko odczucie duszy polskiej i zrozumienie junackiej fantazji musiało zawieść cudzoziemca.

Akwarella Orłowskiego — mimo upływu czasu — jest własnością polską.

W nadmienionym już liście z 22 grudnia 1818 r. wyraźnie zaznacza Mokronowski: „Rysunek Orłowskiego jest własnością akademii warszawskiej, która mię zobowiązała do odebrania go, gdy już Panu nie będzie więcej potrzebnym“ (Le dessin de Mr. Orłowski étant une propriété de l'academie de Varsovie, elle me charge de vous le reedmander aussitôt qu'il ne vous sera plus nécessaire).

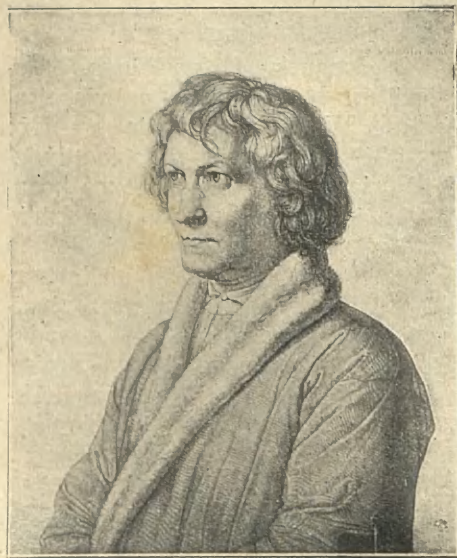
Mokronowski zamknął oczy na wiek w 1821 r., artysta o absolutnem zastrzeżeniu zapomniiał i z czasem dzieło dostało się wraz z całą spuścizną Thorvaldsena muzeum jego nazwiska w Kopenhadze. Można nie upomnieć się o litografii, można nie pamiętać o pikturze Stachowicza, rażącej drewnianym jeźdźcem i apokaliptycznym koniem, nie podobna jednak pominąć słusznej rewindykacji.

Z Warszawy musi wyjść obowiązkowa inicjatywa:

Jak autor artykułu wie z pewnością, nie spotka ona się z oporem dyrektora muzeum, p. Mario Krohm, owszem znajdzie w nim bardzo szlachetnego i inteligentnego rzeczownika. Rzecz jest do zrobienia i zrobić ją trzeba.

Ernest Luniński.

Kopenhaga, w październiku.



Albert Thorvaldsen.



Wystawa kartonów polskich w Aarhus.

W BURSIE.

Historja odtworzy kiedyś obraz naszych wysiłków, przez które ratowaliśmy się od zagłady w lata wojenne, i ten obraz, oparty na całości danych ścisłych i kompletnych, będzie niezawodnie bardzo interesujący, pełny i barwny. Dziś żyjemy wśród rozproszonych szczegółów i z powodu drzew nie widzimy lasu. Możemy się na razie zdobyć tylko na suche statystyczne liczby, które mało przemawiają do wyobraźni, i na niewielkie obrazki monograficzne, które może i dadzą kiedyś żywsze wrażenie widzowi, ale są ledwie ułamkiem, wyrwanym z całości.

Oto jeden z takich obrazków.

Wielka firma włoska automobilowa w Turynie, — której właśnie 80 tys. robotników tyle zaburzenia wytworzyło w północnych Włoszech, — „Fiat”, posiadała w Warszawie, przy rogu Moniuszki i placu Wareckiego, wielki sklep i ogromną suterynę: skład samochodów. Komunikację z fabryką przerwała wojna, automobile zarekwirowali Rosjanie. Pozostał wielki, piękny, dobrze urządzony, znakomicie oświetlony lokal, za który, na mocy wieloletniego kontraktu, trzeba było płacić komorne, niezależnie od tego, czy się automobile sprzedawały lub nie.

Przedstawiciel firmy „Fiat”, p. Toeplitz, ofiarował wtedy ów lokal sekcji bezdomnych. Urządzono w nim pobieżny hotelik, który przytulał głównie kaliszczan.

Ale po dłuższym czasie, kiedy już bezdomnych można było odesłać do domów, lokal dał znowu do dyspozycji dla dobrego dzieła.

Urządzono w nim wtedy *Bursę*.

Bursa jest instytucją, która wraca nam mimowoli do średniowiecza. Było to schronienie dla żaków, którzy pochodzili wszyscy niemal ze stanów biednych i nie mogący żyć na wykształcenie. Magnaci sprowadzali mistrzów dla swoich synów do swych domów. Zamożna szlachta umieszczała swoich w konwiktach. Sprytni jezuici ogłosili wprawdzie wykształcenie bezpłatne, ale byli wybredni w przyjmowaniu uczniów, niechętnie garnąc biedotę. Dla biedoty trzeba było

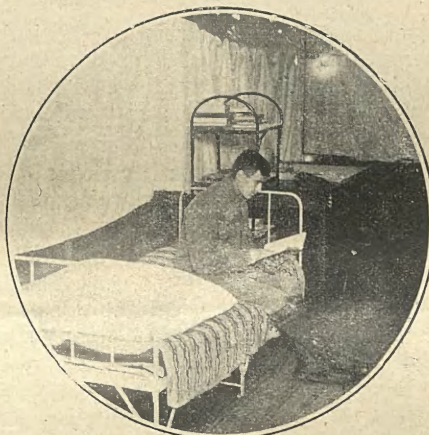


Fot. Maryan Fuks.

Podczas odrabiania lekcji.

fundować bursy, co robili też głównie nasi dygnitarze kościelni, jak Hozjusz, Karnkowski i inni, rozumiejący, ile siły i kościołowi i narodowi daje oświecenie.

Tworząc bursy, wracamy więc do starej i dobrej tradycji polskiej.



Pokój przełożonego mieści się na dawnej windzie towarowej. Fot. Maryan Fuks.

Otóż burs mamy w stolicy szereg. Zajrzyjmy do jednej z nich, — tej, która się w składzie automobilowym rozgnieździła.

Spędziliśmy tam godzinkę małą.

Dziwnie tu spokojnie, czysto i jasno.

Co prawda przez ogromne szyby zagląda do wnętrza cudny dzień jesieni polskiej, — a godzina jest szkolna. Ledwo kilku bursiarzy widać w ogromnej ubikacji.

Ale opiekunka bursy, p. Morozewiczowa, która spokojną rozwagą i urokiem kobiecym panuje nad tym małym światkiem, zapewnia mnie, że:

— Tu tak zawsze...

Trochę się dziwię temu.

— Niema pani trudności z chłopcami?

— Prawie żadnych.

Są tu, co prawda, chłopcy starsi. Niekiedy do 20 lat sięgają. To uczniowie szkoły Wawelberga i Rotwanda i Seminarjum Nauczycielskiego. Uczniów klas niższych jest mniej. Ci co 14 lat nie doszli, mają osobny dla siebie pokój.

Wszystko — biedacy.

— Są to głównie synowie włościan małorolnych albo zupełnie przez wojnę zubożałych — mówi mi pani Morozewiczowa. — Wreszcie urzędników i rzemieślników. Stan materialny ich sprawdzony jest przez R. G. O. Warto zaś, doprawdy, im pomagać, bo prawie wszyscy doskonale się uczą.

I tu pani M. przebiega listę, raz po raz wskazując jakieś nazwisko i dodając:

— To jest pierwszy uczeń... I to jest pierwszy uczeń...

Pytam:

— Cóż tu od was ci chłopcy dostają?

— Mieszkanie, łóżko, śniadanie, opranie i opiekę.

— I to za?...

— Dwadzieścia marek miesięcznie.

R. G. O. płaci za 25-ciu. Inni płacą za siebie. W tym roku mamy razem 44-ch. Komplet. W roku ubiegłym było ich znacznie więcej. Nadkomplet.

Opiekę główną dają tym młodym ludziom panie Janina Morozewiczowa i Helena Toeplitzówna. Opieki lekarskiej udziela bezinteresownie a zarazem z wielką serdecznością, — o czem z rozrzewnieniem mi mówią — dr. Sadkowski. Stan sanitarny bursy doskonały. Ani jednej choroby epidemicznej.



Fot. Maryan Fuks.

Sypialnia mieści się w podziemiach dawnego garażu „Fiat”.

Dozór wreszcie sprawuje tu wychowawca. Typ naszych czasów. P. Franciszek Biernacki jest uczniem klasy 8-jej szkoły Reya. Ale ma już za sobą dwa lata służby w legionach i udział w kilkunastu bitwach. Przestrzega on karności w sposób nieco wojskowy. I codziennie informuje opiekunkę o wszystkich sprawach.

Wychowawcy bursy mają tu dużo wolności. Do 7-jej wieczorem miasto jest dla nich otwarte. Po obiedzie, którego im już bursa nie daje i biedni muszą osobno kręcić głową dla zabezpieczenia go sobie, — mogą oddać się koleżeńskim stosunkom i grom na wolnym powietrzu. Po większej części jednak siedzą w bur-sie i uczą się.

I o kolację muszą się sami troszczyć.

Bursa nie może im dać żadnego innego posiłku, oprócz śniadania: kawę z mlekiem, i, o ile można z cukrem, i kawałek chleba. Niestety, bursa nie ma żadnych funduszy, aby biedzie tej zaradzić. Ratuje ją kuchnia uczniowska i pani Malinowska w zakładzie św. Jadwigi i wreszcie R. G. O. Ale niejeden bursiarz głodem przymiera.

— Poproście o pomoc dla nas — mó-wi mi pani Morozewiczowa.

Prosimy.

Zwłaszcza na węgiel. Bursa ma ogrzewanie centralne, ale i to nie chce grzać bez węgla... A tu zima idzie, — zima, która bursę może zdezorganizować...
Demil.



Kurs dla rachmistrzów stowarzyszeń pożyczkowych w Sieradzu.

W czasie od 17 do 22 września r. b. Związek Rewizyjny polskich stowarzyszeń rolniczych, łącznie z Biurem Drobnych stowarzyszeń rolniczych C. T. R. przy współudziale Ks. Rektora A. Brzezińskiego i Stowarzyszenia zawodowego „Dźwignia”, zorganizował w Sieradzu 6-dniowy kurs dla prowadzących rachunkowość w stowarzyszeniach pożyczkowych.

Na kurs przybyło 24 słuchaczy, 14 z nich prowadziło już rachunkowość (10 tylko rachmistrzów, a 4 rachmistrzów i jednocześnie członków Zarządu), 8 kandydatów na rachmistrzów i 2 dotychczas tylko członków Zarządu.

Wykłady odbywały się w gmachu po Dominikańskim; trwały 45 godzin, po 8 godzin dziennie.

Wykładano: rozwój i zasady współdziałczości, zasady gospodarki i położenie prawne stowarzyszeń pożyczkowych — 9 godzin, prowadzenie rachunkowości,

Kurs dla rachmistrzów stowarzyszeń pożyczkowych i zebranie okręgowe w Sieradzu.



Grupa uczestników sześciodniowych kursów dla prowadzących rachunkowość w stowarzyszeniach pożyczkowych.

sporządzanie inwentarzy, zestawianie sprawozdań okresowych i zamknięcie rocznych, rachunkowość handlowa i rachunki bankowe — 29 godzin, czytanie, wyjaśnienie i porównywanie statutów — 7 godzin.

Prowadzili wykłady: H. Smoliński, P. Załuski i A. Czachyra. Sprawami gospodarczymi zajmowali się J. Jastrzębski i A. Czachyra.

W czasie kursu 21 września odbyło się zebranie okręgowe delegatów stowarzyszeń pożyczkowych, na które przybyło 51 osób.

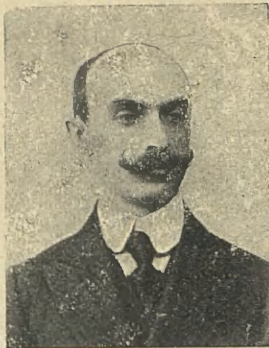
Zebrań przewodniczył p. Wincenty Młynarski, znany działacz na polu społecznym, prezes sądu okręgowego w Kaliszu. Po przerwie zaś obiadowej przewodniczenie objął ks. Brzeziński z Sieradza. Przy stole prezydjalnym zasiadli

pp.: ks. Grzywak z Rudlic, p. Sadzewicz z Burzenina i J. Smogorzewski z Wartkowie.

Wygłoszono na zebraniu tym 4 referaty: 1) Zasady, rozwój i najważniejsze rodzaje stowarzyszeń współdzielczych — H. Smoliński, 2) Zasady gospodarki stowarzyszeń pożyczkowych — P. Załuski, 3) Związek Rewizyjny i Kasa Centralna rolniczych stowarzyszeń pożyczkowych — H. Smoliński, 4) Sprawy prawne w obecnym czasie — P. Załuski.

Po zebraniu odbyło się w miejscowym teatrze przedstawienie, na którym Koło Śpiewacze Towarzystwa „Dźwignia” wykonało kilka pięknych narodowych pieśni, a Koło Miłośników Sceny tegoż Towarzystwa wystawiło obraz dramatyczny p. t. „Kościszko w Petersburgu”. S.

Na widowni — z tygodnia.



JAN KUCHARZEWSKI, redaktor „Orla Białego”, działacz polityczny na gruncie szwajcarskim, został powołany na stanowisko referendarza Rady Regencyjnej.



Ks. kan. Z. CHEŁMIŃSKI, znany działacz społeczny, został sekretarzem Rady Regencyjnej.



Dr. ST. KARŁOWSKI, nowy dyrektor Banku Handlowego w Warszawie, znany powszechnie ze swojej energii oraz inicjatywy, dotychczasowy dyr. Banku we Lwowie.

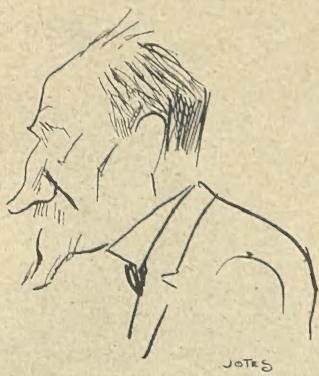
NA TERENIE RADY MIEJSKIEJ.

Rysował Jerzy Sawajcer.

HGL



Ks. Bączkiewicz.



Libicki.



Parczewski.



Mejer.



Tymiński.

Karykatura powinna być satyrą. Niestety, jest ona małą i wiotką gałązką satyry, chłostać bowiem może tylko to, co do naprawienia jest niepodobnem: ułomności fizyczne. Zbyt też wieleby się od niej wymagało, żądając, aby, wedle klasycznego przepisu, „oczyściła obyczaje“.

I jeszcze jednej rzeczy nie żądajcie od karykaturzysty: piękna. Doprawdy, nie jego to sprawa.

Brzydotę uchwycić, podkreślić, ośmieszyć, „unieśmiertliwić“ oto jego rzemiosło.

Gdy przypadkiem napotka piękno, stara się je obrzydzić.

Czy domyślilibyście się, czytelnicy, że w tej małej kolekcji radnych, którą nasi karykaturzyści przed oczy tu wystawiają, figuruje mąż, o którym przez lata mówiły panie w mieście:

— To jest prawdziwa męska piękność...

Nie sądzcie też, że do naszej Rady Miejskiej wybierano radnych tak, jakby okazy do muzeum tetralogicznego pod dyrekcją prof. Jana Tura, specjalisty od potworności.

Inna to rzecz, iż bywają momenty, w których nasza Rada Miejska w kształty karykatury się ubiera.

Te momenty są czasem jaskrawo rzucające się w oczy, jak wtedy, gdy np. lewica rzuca mówcy, który się jej nie podoba:

— Niech siada!... Niech siada!...

Nasza Rada Miejska nie odbiega zbyttnio od poziomu rad miejskich stolic świata, choć składają ją, wyjątkowo, ludzie, poczerpnięci w jakiejś mierze z grona najwyższej inteligencji kraju. Sprawdza się i tu prawo tłumu, prawo, wedle którego czyny gromady ludzi mają mniejszy stopień wartości, aniżeli myśli składających tę gromadę jednostek. Bądźmy jednak przygotowani na to, że następne nasze rady miejskie będą posiadały poziom, o wiele już niższy.

W istocie, sejm otworzy drogę ambicjom większym i zdolnościom teższym. Potem sąd i rząd porwie wiele jednostek dzielniejszych. Już je porwał.

P. Makowski jest wicedyrektorem Depart. Sprawiedli, Dr. Chodźko naczelnikiem wydziału zdrowia, P. Patek wiceprezesem sądu apelacyjnego, Pp. Śmiarowski i Berenson wysokimi urzędnikami sprawiedliwości, P. Grendyszyński sekretarzem Rady Stanu i inni.

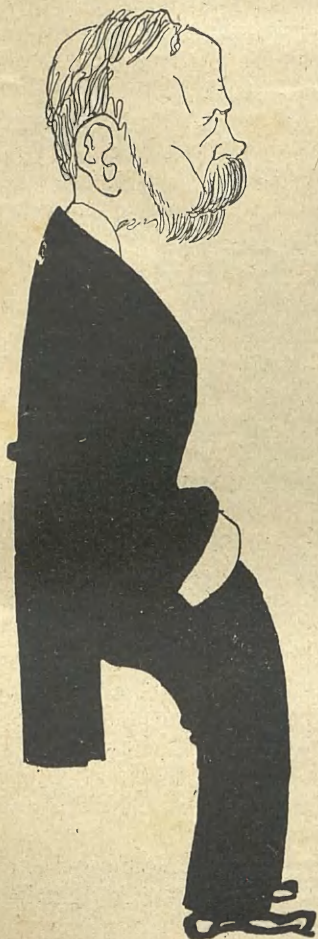
Pójdzie to crescendo z rozwojem państwowego życia.

Ci urzędnicy nie będą się ubiegali o mandaty radzieckie.

A i wyborcom w najminimalniejszej mierze zależeć nie będzie też na tem, aby na przedstawicieli społecznych miasta wybierać urzędników.



B. Eiger.



A. Suligowski.
Rys. St. Dobrawyński.



Arciszewski.



Kobyłecki.



E. Natanson.
Rys. St. Dobrawyński.



Biust Kościuszki do tablicy pamiątkowej w kościele Św. Stanisława Kostki w Łodzi, wykonany w zakładach A. Urbanowskiego, modelowany przez art. W. Konopkę.



Poświęcenie pomnika Kościuszki w Żbikowie. Komitet organizacyjny pod przewodnictwem proboszcza ks. prałata Czechowskiego (x), złożony z pp. ks. Kęsickiego, prob. z Pruszkowa, d-ra Wolframa, Chełmińskiego Rutkowskiego, d-ra Handelsmana, dyr. Babickiego i Santera.

PAŁACYK KS. JÓZEFA.



Pałacyk myśliwski ks. Józefa Poniatowskiego w rozbierce.

Pałacyk myśliwski ks. Józefa Poniatowskiego, malowniczo położony nad Narwią, w miejscowości Góra, ziemi Warszawskiej, w pobliżu Modlina i Nowego Dworu (2 mile od Jabłony) ma uleść zniszczeniu. W murach jego tkwią dotąd kule armatnie z czasów powstania.

„Konfiskowany przez rząd rosyjski, przeznaczony był na rezydencję archierejów. W czasie wojny obecnej pociski zrujnowały jeden węgiel oraz dach, mury jednak trzymają się dobrze i nadają do restauracji.

Ktoś z sąsiedztwa nabył pałacyk ten od władz okupacyjnych i rozpoczął już rujnowanie go w celu upiększenia nowo-budującego się dworu...

Towarzystwo Opieki nad Zabytkami Przeszłości winno się tą sprawą zainteresować, gdyż jest to pamiątka godna zachowania.

Teatry warszawskie.

TEATR MAŁY. „Mistrz“, komedia w 3-ch aktach Hermana Bahra.

Herman Bahr zdobył sobie rozgłos jako feljetonista. W prasie wiedeńskiej utrzymała się tradycja Saphir'a. Każdy większy dziennik ubiega się o publicystów, którzyby potrafili omawiać ważniejsze sprawy dowcipnie i błyskotliwie. Bahr wyróżniał się tem, że starał się z azwyczaj sięgać głębiej, że jego rozważania



Kazimierz Kamiński.

nie ślizgały się po powierzchni, lecz usiłowały ująć rdzeń kwestji. Tkwił w nim zawsze umysł filozoficzny; teraz, w czasie wojny, dawny rzecznik wolnej myśli i radykalnych poglądów nawrócił się, stał się gorąco wierzącym katolikiem.

W utworach dramatycznych Bahra przebija wyraźnie rozmach publicystyczny i forma feljetonowa. Interesują go więcej kwestje, niż ludzie. Figury, które wyprowadza na scenę, służą mu raczej do wypowiedzania i oświetlenia pewnych idei; samodziel-

nego, własnego życia nie posiadają. Nie są to ani charaktery, ani nawet typy. Są pośrednikami, przy których pomocy autor dyskutuje z publicznością. Autor jest człowiekiem bardzo inteligentnym, wykształconym i dowcipnym. Rozmowa z nim jest zajmująca i przyjemna. Oczywiście, dopóki „kwestja“, którą porusza, jest na porządku dziennym. Gdy przebrzmi, sztukę spotka ten sam los, co dziennikarskie feljety: zapomnienie...

„Mistrza“ pisał Bahr wówczas, gdy Nietzsche stał się modnym. „Zaratustra“ był na ustach wszystkich. Ileż to poematów, powieści i dramatów napisano na temat „nadezłowieka“, — jednostki silnej, świadomej swych celów i dążącej do nich brutalnie i bezwzględnie! W komedji, którą wystawił Teatr Mały, „nadezłowiek“ jest genialnym chirurgiem, który drwi sobie z autorytetów uniwersyteckich, gardzi akademicką nauką. Uczeń go nazywają szarlata-
nem, on im odpowiada uragłiwie trzema tysiącami szczęśliwych operacji.. Przejęty wiarą we własną moc, waży sobie lekce wszystko i wszystkich. Sądzi, że wszystko mu wolno, bo jest silny. Pozwala się cenić, kochać, uwielbiać, — sam pozostaje obojętny, niedostępny, wzgardliwy. I cóż się okazuje? Gmach szczęścia, zbudowany na fundamentach chłodnego racjonalizmu, kruchym jest, jak domek z kart. Oto nawet żona „nadezłowieka“ szuka uczuciowego ciepła w ob-

jęciach nieskończenie niższego pod względem umysłowym kochanka, który daje jej jednak to, czego serce ludzkie przede wszystkim pragnie i pożąda: miłość. A gdy człowiek silny usiłuje zatrzymać ją przy sobie, gotów jej przebaczyć wiarołomstwo, słaba kobietka rzuca mu w twarz swą długo tajoną nienawiść i odchodzi. „Nadczłowiek“ zostaje sam ze swym przyjacielem sjańczykiem. Czy da się teraz przekonać, że w życiu uczucie, przez zimny rozum pogwałcone, mści się okrutnie?...

Dyskusja nie straciła nic na aktualności, choć problemat „Uebermensch'a“ przybladł i przestał być modnym. Dla kobiet zwłaszcza zagadnienie pozostanie zawsze palącym: czy wiele jest takich, które uważają się za dostatecznie rozumiane i kochane? Bahr rozmawia z niemi przytem tak inteligentnie, tak dowcipnie, że pobudza inteligencję i dowcip swoich partnerek. Prawdopodobnie w domu kontynuują dyskusję i wdzięczne są dramaturgowi, iż dostarczył im tyle nowych argumentów. Więc komedją Bahra, mimo że jest utworem feljetonowym, pozbawionym wewnętrzznego życia, może śmiało liczyć na powodzenie. Szczególniej, gdy jest

tak wystawiona i grana, jak się o to postarał Teatr Mały.

Stało się to zaś głównie za przyczyną p. Kazim. Kamińskiego, który sztukę wyreżyserował i tytułową rolę objął. Nie wiem, co w tym wypadku więcej podziwiać należy: umiejętność reżyserji, czy wirtuozowską grę artysty. Odwykliśmy w Warszawie od takiej inscenizacji. P. Kamiński pokazał, że utalentowany i doświadczony reżyser nawet na scenie szczupłej i niedogodnej, z artystami, którzy przeważnie dotychczas pozostawali w cieniu, może zrealizować widowisko, godne wymagań stolicy. Pokazał również, jak należy prowadzić dialog, co może z roli dość suchej i niezbyt efektownej uczynić artysta prawdziwie twórczy. Pod jego kierownictwem pp. Mrozińska, Górńska i Gzylewska, pp. Kindler, Ratowski, Buszyński, Neubelt i wszyscy inni złożyli całość, jakiej dawno nie widzieliśmy na tej scenie.

S. K.

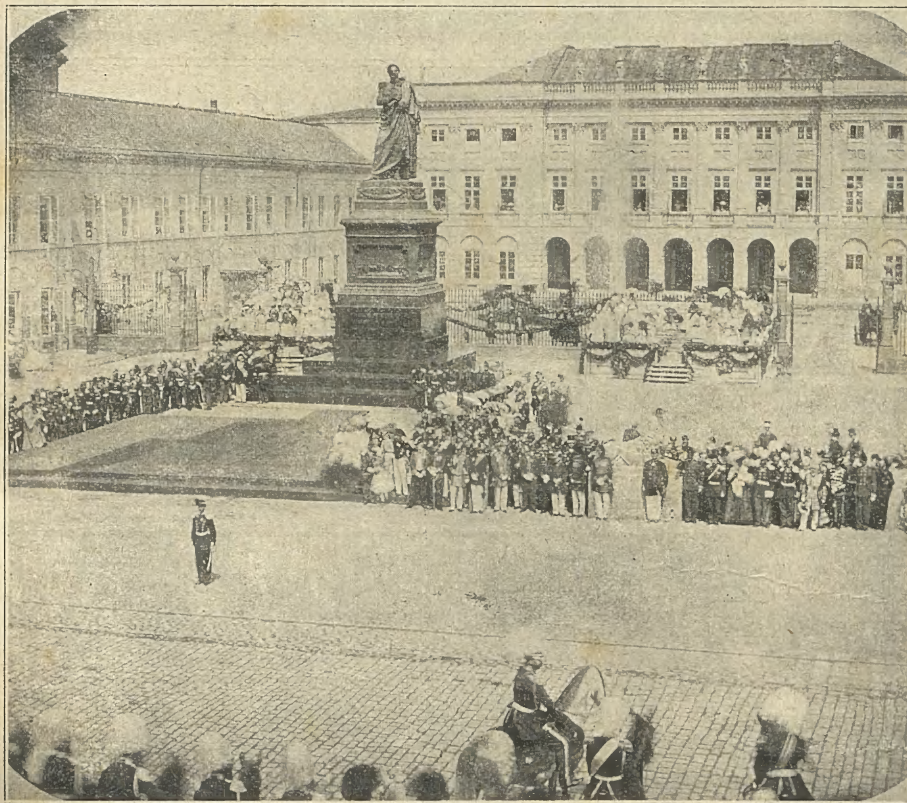
Osoby zamieszkałe na prowincji mogą uczyć się listownie buchalterji, arytmetyki, algebry, polskiego, geometrii, stenografji, trygonometrii, niemieckiego, kaligrafji, francuskiego, angielskiego i t. p. opłacając od 15—25 marek miesięcznie. Programy gratis wysyła Kancelarja Kursów Gracyana Pyrka, Warszawa, Świętokrzyska 17. Po ukończeniu patenty. 14408

Z Teatru Letniego.



Alina GRYFICZ-MIELEWSKA, b. artystka teatru krakowskiego, rozpoczęła w bieżącym tygodniu występy w Teatrze Letnim pozyskana dla tej sceny przez p. Sliwskiego. P. Mielewska w ubiegłym sezonie zimowym występowała w trupie p. Gasińskiego w Teatrze Nowoczesnym, temperamentem scenicznym, wdziękiem i urodą zdobywając sobie względy zarówno publiczności jak i krytyki. W teatrze Letnim odtworzy teraz tytułową rolę w sztuce Lengyel'a p. t. „Tancerka“.

Pomnik J. T Paskiewicza w Warszawie



Odstąpienie pomnika Paskiewicza w r. 1870, na którym był obecny cesarz Aleksander II.



Pomnik gen. Paskiewicza doczekał się nareszcie chwili ewakuacji z Warszawy.

żona sekretarza kancelarii parafji św. Andrzeja zgasała w 26 r. życia d. 14 paźd.

r. b. Śmierć, straszliwy ten gość, zabierający z pośród nas człowieka wiekowego, który spełnił już zadanie swego żywota a budzi zawsze uczucie bólu serdecznego, smutku i grozy. Cóż mówić o zgonie kobiety w zaraniu życia, będącej matką dzieci drobnych, które śmierć nielitościwa pozbawia tego niczem niezastąpionego dobra jakim jest dla serce bijące gorącą miłością macierzyńską. Ciężki ten cios dotknął rodzinę p. Edwarda Nowickiego, pozbawiając go wiernej towarzyszyki życia, oraz osierocając dwoje drobnych dzieci: 3-letniego synka i 4-letnią córeczkę. Wzorowa żona i matka, godna obywatelka kraju i wierna córka ojczyzny zamknęła w wiosnie życia swe powieki, podcięta jak kwiat nieubłaganą kosą śmierci, okrywając ciężką żałobą serca małżonka i rodziny, oraz pograżając w smutku głębokim liczne koła przyjaciół i znajomych. Cześć jej pamięci!



Podczas obrad. Za stołem prezydalnym siedzą: (od lewej ku prawej stronie) pp.: Stroh-mayer, Pogorzelski, Rzętkowski, Młynarski (przewodniczący zjazdu), Mielczarski i Kwieciński, Fot. Maryan Fuks.



Tungstamm 1/2 Watowe

dają dzienne zosrodkowane swiatlo przy duzej oszczednosci pradu

10376

OD BÓLU GŁOWY



10200

W OPŁATKACH.

Dozwolony przez Radę Medyczną. Dla odróżnienia od wielu e ków o zbliżonej nazwie, zwracamy uwagę, że nasz środek leczniczy znajduje się w sprzedaży tylko w opłatkach opatrzonych naszą firmą.

Warsz. Tow. Akc. „MOTOR” Marszałkowska 23.

S. Celichowski

Szkółki drzew owocowych i parkowych w Podębju pod Skierniewicami.

Plany i zakładanie parków i sadów

Adres dla listów Skierniewice (Skrzynka pocztowa) lub **Warszawa, Nowogrodzka № 60.**

10388

NOWOŚĆ!

Marmelada owocowa

w KARTONACH 1/2 i 1/4 f., oraz w SŁOIKACH 1/2 kil. TOW. AKC.

Józef Werner, Cyrański i S-ka.

Żądać wszędzie. Hurt w firmie

SUTKOWSKI i RASZEWSKI, Marszałkowska № 149 (wejście od Próżnej).

10411

PRACOWNIA Krawiecko-Kuśnierska

Br. UNKIEWICZ

WARSZAWA Hoża № 54.

Poleca: Palta, Okrycia, Kostiumy, Spódnice, Futra, Kołnierze, Muflki.

Wielki wybór — Najnowsze fasony.

10396

!! ZAWIADOMIENIE !!
Bar Waldschleschen
Moniuszki № 12.

10399

po gruntownem odnowieniu został otwarty pod zarządem znanego kuchmistrza **Emila Koczemby.**

Wykwintna kuchnia, dobór zakąsek. **Ceny przystępne. Wieczorem koncert.**

poleca **WINA z piwnic I. LIJEWSKIEGO i S-ki.**

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok IX.

Warszawa, dnia 27 października 1917 roku.

Nr 43.

G. DANIŁOWSKI.

Zamach na Skatłona.

Pokrzywdzonego wnet otoczyli przypadkowi i nieprzypadkowi przechodnie z wyrazami ubolewania; oficer wsiadł w dorożkę i huknąwszy na woźnicę, który się niby wzdragał iechać: „walaj sukinsyn“ — wygrażając pobitemu pięścią, znikł na kręcie.

Scena została odegrana świetnie. By skutku jej nie popsuć, według wskazówek Brunona — świadomi rzeczy nie rozdmuchiwał wypadku, przeciwnie, starali się go zbagatelizować w kółkach partyjnych jako bez znaczenia epizod.

Dalszym tokiem sprawy mieli się zająć mimowolni współnicy zamachu, ambasador niemiecki, minister spraw zewnętrznych i t. d. Jakoż zaczęły drgać druty Berlin via Petersburg — Warszawa, które spowodowały kondolencyjną wizytę Skatłona u konsula, a tam już czekała zastawiona pułapka.

W narożnym domu Nr. 13 od Koszykowej, na pierwszym piętrze na kilka dni przed prowokacją został wynajęty elegancki lokal, składający się z pięciu pokoiów z wanną i wszelkimi wygodami, z których najważniejszą dla spiskowców były trzy okna i balkon wychodzące na Natolińską. Z okien tych widać było doskonale Nr. 9, dom, w którym mieszkał konsul. Spadające z pierwszego piętra bomby nie mogły nie wybuchnąć, brama od Natolińskiej, zamknięta naглуcho z rozporządzenia władzy, która skasowała domy przechodnie, dawała nadzieję na możliwość odwrotu. Dzięki tym okolicznościom mieszka-

nie zdawało się być stworzone w myśl zamiarów Brunona, to też znalazłszy je, Brunon czuł się trochę stropiony, że wszystko idzie, jak z płatka.

Lokal w towarzystwie starszej osoby wynajęła młoda paniienka ze wsi Kozłowska, dla siebie i cioci, która ma wkrótce przyjechać, przywieźć fontepian i resztę mebli, oraz kuzynkę p. Zamojskiej. Może krewna ordynata? — dopytywał się uprzejmie rządca.

Tak ale daleka! — brzmiała odpowiedź. — Potem nastąpiły pertraktacje o gazowe oświetlenie, bo ciocia lamp nie lubi, o tym, czy w podwórzu niema psów, których ciocia się boi, czy dom spokojny i t. p.

Wreszcie, przybierając lekko arystokratyczne tony, młoda ziemianka złożyła suty zadatek i wkrótce sprowadziła się z częścią eleganckich damskich mebelków, wśród których zwracały uwagę nuty, przybory malarskie, dyletanckie widoczki domorosłej artystki, zakochanej widać, nim mąż się znajdzie, w sztuce.

Przy wręczaniu meldunków stróż został zagabnięty, czy nie ma jakiej znajomej ucziwej służącej. Stróż objaśnił, że istnieją kantory, w których się należy zapisać.

Jakoż nazajutrz zjawiła się z kantoru fertyczna pokojówka i dowiedziawszy się, gdzie mieszka p. Kozłowska, zgodziła się „dla próby“ na kwartał. Następnie w ten sam sposób zgłosiła się tymczasowa — nim ciocia przywiezie swoją — urodziwa

kucharka — i przyjęła służbę, bo jej się paniienka „spodobała“.

„Laleczka“ — pokojówka, „Joasia“ — kucharka, spodobały się również lokatorom z przeciwnych oficyn, jakimś urzędnikom biurowym, którzy odrazu zagięli na nie parol.

Zaczął się wzajemne oczkowanie, w którym celowała Laleczka, choć i Joasi trudno było pod tym względem coś zarzucić.

Było w tym trochę umysłu, ale także sporo szczerości. Obie pełne życia, młode robotnice, pochodzące ze sfery, gdzie wszystko jest prostsze i naturalne, niby polne kwiaty, rozwijały się w zalotnym uśmiechu wobec strzelistych spojrzeń przystojnych kawalerów z przeciwka.

Mniemana pani ich „Harna“, jako inteligentka, panna z tak zwanego towarzystwa, zachowywała się oczywiście poprawnie, była nawet trochę zgorszona swobodnym sposobem bycia swych towarzyszek, nie licującym z powagą chwili — i by nie siedzieć bezczynnie, zabrała się do malowania ekraniku, którym miało być zamalowane karmine płótno, z pozostawionym białym tłem, tworzącym monogram P. P. S.

Oczywiście przy bleitramie leżał stale wilgotny pędzel, którym na wypadek rewizji można było w mgnieniu oka groźne inicjały zamazać.

Harna wychodziła rzadko z domu; odwiedzały ją czasem podeszłe wiekiem osoby, przeważnie niewiasty, często młody pan — wiadocznie kuzyn, i raz tylko szykowny lowelas, objuczony eleganckimi paczkami. Był to chemik, który w wilję spoliczkowania konsula dostawił i odpowiednio złożył w mieszkaniu 4 bomby: dwie duże, dziesięcio-funtowe, w kształcie wysokich pudełek — obrzymiej siły, i dwie zwykłe dynamitowe

cegiełki. Pociski zostały umieszczone w głębi kominka, zastawionego stolikiem pełnym ozdobnych bibelotów, tak że w razie powierzchownej rewizji, której zawsze się można spodziewać, prawdopodobnie bomby nie zostałyby wykryte.

Jak widzimy, właściwymy sprawcami zamachu miały być dziewczęta.

Tu należy nadmienić, że karność pantyjna, wbrew rozpowszechnionym bajkom, kończy się tam, gdzie się zaczyna gra o życie ludzkie. Wszelkie tak zwane losowania, czarne gałki, wyrok z pieczęciami, są tworem lichy fantazji, sklejaący sensacyjnych powieści. Gdy chodzi o zamach, decyduje tu własna wola, samodzielnie zgłoszona kandydatura, a tych w danym wypadku nie brakło. By „zrobić“, wyrażając się technicznie, Skalfona, amatorów było aż nadto, nie mniej, niż owych ochotników na słynne brandery japońskie; wypadło więc wybierać.

Brunon wybrał same kobiety, co wywołało pewne wrzenie i sarkanie wśród mężczyzn, a radość wśród niewiast.

Feminizm swój Brunon tłumaczył w następujący sposób: Zamach ten ma przede wszystkim znaczenie protestu, ostrej manifestacji, wyrażonej w sposób najjaskrawszy, wstrząsający do głębi wszystkie żywiej czujące sumienia. Czyż nie silniej drgnie serce, gdy wyobrazicielką uczuć tłumy stanie w rosie młodości stojąca dziewczyna, jeżeli przed sądem, gdyby ten nastąpił przed trybunałem orężnych generałów, pośród pałaszy i bagnatów ukaże się wiotka postać, filigranowa fizycznie istota, i pakiem ust rzuci siepaczom w twarz krwawy akt oskarżenia za mękę i krzywdę narodu — płomiennie dumne, przez kontrast wyolbrzymiałe do grozy i majestatu, niespożyte słowa?!

W końcu, jeżeli ma być równoprawniem, o którym się tak mówi, nie wolno odmawiać kobiecie prawa do bohaterstwa, skoro do tego dorosła, a że tak jest, dowodów nie brak!

Zresztą Brunon, jako organizator zamachu, miał prawo zrobić, jak chciał, i jak szemrano, otoczył się niemal wyłącznie „babami“.

Z trzech uczestniczek zamachu, ryzykowała najwięcej Hanna, najmniej Laleczka; ona bowiem, skoro Skalfon nadjedzie, miała ulotnić się natychmiast, jako zbyt cenna, gdyż rola jej polegała głównie na komunikowaniu towarzyszek ze światem zewnętrznym. Pierwszą bombę pod konie miała rzucić Hanna, drugą, by dokonać reszty, Joasia, poczem wyjść także, Hanna zaś rzucić jeszcze trze-

cia i czwartą, dla wywołania popłochu i przedłużenia chwili zupełnego oszołomienia, jakie sprawiają szybko po sobie następujące wybuchy, i korzystając z ogólnej paniki, opuścić mieszkanie ostatnia. Jej więc ocalenie, oparte na czysto psychologicznych przesłankach — powszechnego przerażenia, było najbardziej wątpliwe, to też stało się ono szczególnym przedmiotem troski Brunona.

Z jej imieniem łączy się najściślej historia zamachu. Harnę na progu życia spotkało kilka dotkliwych ciosów osobistej i nieosobistej natury, któremi zraniona, uciekła w odludne zacisze.

Ale młodość szybko się leczy, to też wkrótce zaczęły jej ciążyć błogie dni spokoju, wytchnienia, zwłaszcza, że ze wszech stron poczęły nadlatywać, jak ogniste ptaki, zrazu pojedynczo, a potem gromadnie, stada całe, wieści o jakiejś mowej, niesłychanie bujnej wiosnie, o mocnym tętnie życia, o dźwiganiu się z mogiły całego narodu. W dodatku blizka kuzynka jej Mara w krótkich lakonicznych kartkach nagliła: „Przyjeżdżaj koniecznie, razem może więcej potrafimy!“

Listy te działały jak iskry, rozżarząc przygasły płomień duszy, aż wreszcie Hanna wybrała się do Warszawy, bez jasno określonego celu, niby popatrzeć na to bałwanujące się morze.

Nęcił ją ono, ciągnęło, a jednak, gdy ruszył pociąg, zakolał nagły żal. Ciemnozielone lasy były tak pełne melancholji, pejzaż bliski duszy i cudowny, świat taki spokojny, że serce spłynęło smutkiem, w przelotnej tej sekundzie, gdy zdało jej się, że nie wróci do tych miejsc.

Zawołać, zatrzymać się, raz jeszcze zobaczyć! ale nieubłagany wagon mknął szybko, siwe kłęby dymu zasnuwały gniazdo dzieciństwa, dom ojców tonął w sennem oddaleniu w mętnej mgłę.

Na dworcu w Warszawie zaskoczyła ją wiadomość o rozpędzeniu Dumi.

Harną w ówczesnej sytuacji orientowała się tak mało, że wieść ta wstrząsnęła nią do głębi. Była pewna, że w odpowiedzi na to wyzwanie rządu barykady wyrosną na ulicach miasta, załopoczą czerwone sztandary, lud runie w śmiertelny bój. I w oczekiwaniu tych wypadków postanowiła zostać w stolicy kraju. Dzięki zażyłym stosunkom z Marą, która już tkwiła w robocie, wkrótce i ona wpadła w wir stosunków partyjnych, spotykając się z mnóstwem ludzi, którzy ją zrazu przerażali swą obcością, zim-

nym doktrynerstwem i krzykliwą wymową.

Spodziewała się czynów, a widziała fontanny płynnych słów; oczekiwała wystrzałów, a słyszała butne trzaskanie nowych kierowników ruchu.

Każda jednak rozmowa z egzaltowaną Marą podnosiła opadającą falę zapału, rozogniała wiarę, hamowała zniecierpliwienie.

Tymczasem spostrzegła, że czas jej schodzi właściwie na pracowitem próżnowaniu, maskowanym różnymi pozorami, niby dreptanie na jednym miejscu.

To też zagadkowa bojówka, o której nawet w łonie partji krążyły najsprzeczniejsze wieści, jako obóz istotnego czynu, pociągała ją coraz silniej. Okazało się jednak, że nie jest tak łatwo do niej się dostać, że nie wystarczy sama intencja, że tam się odbywa staranny dobór ludzi, poddawanie kandydatów ogniowym próbom, na które Harnie wypadło długo czekać.

Dnie mknęły, a z niemą wiarą w możliwość dotarcia do tego jądra prawdziwej roboty wiedła, jak kwiat na drucie.

Nakoniec zjawiła się nieznaną jej wcale towarzyszką Łzą z propozycją rozwżenia broni.

Hanna zgodziła się radośnie, wyruszyła w podróż i wróciwszy po kilku nieprzespanych nocach, zastała u siebie bratową, z którą łączyły ją ścisłe i serdeczne stosunki.

Obecnie jednak Hanna tak pochłonięta była swymi myślami, że słów bratowej nie słyszała prawie, czasem tylko niejasno chwytając ich zaciszne piękno.

Bratowa nie perswadowała jej udziału w robocie, mówiła tylko, że dobrych czynów w życiu jest moc nieprzebrana, wyrażała obawy, czy się czasem nie przepała w słomianym ogniu. Zresztą wyjechała prędko, zostawiając w oczach Harny, niby zamglony powidok, okno wagonu, a za jego taflą mocno bladą dobrą twarz i wpółbolesny uśmiech, z którym wyrzekła: a jednak — wróć jeszcze!

Wróć! — prosiła, a nie wiedziała, że właśnie Hanna z Marą szukały pod kopytami rumaka Sobieskiego listopadowych śladów.

Dalszy ciąg nastąpi.



KARYERY.

51

Czasami tylko z jakimś błyskiem pół świadomości w oczach — zdawała się rzucać pytania ranionego ptaka:

— Po co to wszystko było?

Pielegnująca ją dniami i nocami matka i Horski zrozumieli doskonale to spojrzenie. Czuli, że to nie maligna. I do uszu ich dopływał już teraz najwyraźniejszy ten szczebiot ptasi, podobny do tik-taku zepsutego zegara, z jakim chora coraz ciężiej, coraz ciszej rzeźbiła:

— Po co, po co, po co?

— Co mówisz, moje dziecko? — głosem nabrzmiałym od duszonych łez badała umierającą — matka.

A niema pani Zosia z wychudłą, z zapadłą, żółtą twarzą starej kobiety, z podsiniałymi oczami w ślup — doświadczała jakby skrótów całego swego życia.

Wyciągnięta w biel łóżka, z opadłymi, martwiejącymi już rękami — widzi się najwyraźniej w najrozmaitszych epokach:

Wiecznie delikatna roślina, w ciągłych lekach, kuracjach — wyhodowała się, zawdzięczając mozolnej opiece matki. Z gąsienicy przemieniona w motyla — wyciąga swoje skrzydła ku niebu, szczęściu, ku gwiazdzie, którą był on, jej jedyny, ukochany.

A później jej małżeństwo, pobyt we Włoszech, jej dom pusty i obcy, to wszystko było już jedynie tą brutalną agonją, której dalszy ciąg i zakończenie już wszystkiego widzi przed swymi błędnie w dal wpatrzonymi oczami...

I czuje ciężki ból łez, których wylać już sił nie ma... I jak kwiat zerwany — coraz nieruchomiej przykłada swoją głowę do poduszek.

Alabaster jej policzków, których indywidualność ginie, trawiać wszystko, co małe, co ziemskie — łączy się z bielą pościeli — cały już wyanielony, wyższy po nad wszystko, boski...

A te niewylane łzy, które zatapiają ją całą — nie są ani tak ciężkie, ani tak gorzkie. Zosia czuje, jak tonie w nich; tonie coraz głębiej; lecz już bez pragnień, z jedynym buntem siniejących warg, które upierają się dziecięcym niezrozumiałym szepczeniem pisklęcia:

— Po co, po co, po co?

Wreszcie jeszcze jedno cichutkie: po co — i wszystko ustało.

Pani Zosia przymknęła zapadłe w głąb oczy; opuściła ciężarną głowę na poduszkę, pokrytą falą rozsypanych włosów.

Horski przyłożył dłoń do jej serca: uderzyło jeszcze kilkana nieprawidłowymi ruchami złamanego skrzydła, lub zepsutego zegarowego wahadła... Wreszcie bić ustało.

Pani Zosia już nie żyła.

XXIV.

Księżna najdokładniej zdawała sobie sprawę ze swojej sytuacji: Przekroczyła dozwoloną miarę. Można popełniać w jej latach głupstwa; lecz w gruncie popełniać ich już wtedy nie powinno się.

Usprawiedliwiała się sama przed sobą, że to był spleciony serwitut głupstw jeszcze z daty młodzieńczej. Niezapłacony ten rachunek upominał się teraz po latach o cały haracz wraz z procentami, które zjadają calutką wieloletnim sprytem tak mozolnie ufundowaną życiową karierę.

Plotki, łączące się ze śmiercią tej biednej „tak haniebnie oszukiwanej“ pani Zosi — zaszkodziły ogromnie w opinii Irenie, która zdecydowała ostatecznie:

— Ha! Niema już innego wyjścia: Po skończeniu żałoby Horskiego — trzeba będzie ostatecznie tego, przeznaczonego mi widocznie bez apelacji — zaślubić.

Odrzucić księstwo „zdeklasuje się“ — zostanie tout court panią doktorową Horską.

Będzie w tem nawet pewien wielkopański gest, że drwając sobie z tytułu księżnej. Byle jaka mieszczka na taki gest nie zdobyłaby się!

A kosztował ją zbyt wiele ten zaszczyt, aby pomimo pewnego żalu próżności, nie odczuwała jednak zadowolenia, iż samą wyrzucą wyństwo te mitrę za okno.

Faktycznie rola jej towarzyska była już skończona. Jej zagraniczne księstwo w historycznej Warszawie już spowszedniało.

Z pod tej egzotycznej mitry wypływała już coraz częściej w opinii „mała w gruncie szlachcianeczka, ze sklepiku z haftami, a następnie wygwizdywana na scenach, drugo-

rzędna kabotynka o bardzo wątpliwej przeszłości“.

Teraz stanowczo nie wybaczonej jej Horskiego. I wielkie damy miają wprawdzie kochanków; lecz quod licet Jovi, non licet bovi. Zresztą nawet prawdziwe damy nie afiszują się z taką dezynwolturą.

A śmierć pani Zosi, ubarwiona plotkami — skandal ten jeszcze znacznie powiększyła. I księżna, przyjmowana coraz zimniej — zakończyła w końcu:

— Mam tego wszystkiego po szyję. Noga moja nie powstanie już więcej w żadnym warszawskim pałacu. E basta!

— Zresztą — pocieszała się — niema złego, któreby na dobre nie wyszło. W wydatkach przeholowałam; obecny tryb życia sprowadziłby mnie do ruiny.

Faktycznie petersburskie procesy z rodziną męża — księżna ostatecznie przegrała; na większości transakcji handlowych Zanetti'ego, który okazał się skończonym łotrem i kierował się jedynie własnymi względami w formie poręczawczego, tantjem i łapówek — wyszła, jak Zabłocki na mydle.

— Jestem nędzarką — trapiła się wśród bezsensownych mocy — został mi nie cały miljonik. Chwała Bogu, że umieszczony w dobrze procentującej cukrowni; bo co się tyczy klucza Różewic i mego pałacu — to pisz na Berdyczów.

Nowo budowany przez nią w Warszawie pałac na placu najdroższej dzielnicy, kupionym na wagę złota — prawie już pod dachem — sprzedawała na rozbiórkę za bezcen.

Zmodyfikowała służbę; odprawiła szwaczkę, kuchcika, grooma, stajennego i t. d. Zostawiła jedynie dwóch lokajów, kucharza, dwie panny służące, chauffeura, stangreta i najkonieczniejszych kilka osób z niższej służby.

Zreasumowawszy to wszystko, bardzo trzeźwo zadecydowała, chlubiąc się samą przed sobą swoim pensjonarskiem szaleństwem:

— Trudno! Wyjdę za Horskiego. Kocham go przecież? Lecz czy wart on takiej ofiary? Ha! My kobiety — kiedy kochamy, nie wahamy się poświęcić wszystko — łudziła się co do stałości swoich uczuć, zagłuszając w swoim sercu fakt, iż od czasu śmierci Zosi — wulkaniczność jej miłości przygasła nieco.

A Horski był istotnie tym królewskim darem oszołomiony. Więc ta kobieta, poświęcając dla niego wszystko, faktycznie go kocha?

Zawsze marzył o hrabiance z pół miljonem; a tu księżna z wieloma milionami! Przytem pałace, brylanty, służba.

Czy tego dobrego było nie za dużo? I cóż on teraz ze swoją kilku-nastotysięczną praktyką uczyni?

— Być jedynie mężem księżny—rola również niemiła, jak być mężem królowej, lub sławnej aktorki!

Cytowano też jego dowcip, podobno jedyny w jego życiu, z jakim, chlubiąc się, określał swoje przyszłe małżeństwo:

— Moja narzeczona posiada aż trzy wady: Jest zbyt piękną, zbyt bogatą i zbyt wielką damą.

I szczerze uradował się jej wyznaniem, że majątek jej jest znacznie mniejszym, niż przypuszcza; że będą zamieszkiwali nie żaden pałac, lecz wynajęty wygodny apartament i że jego praktyka lekarska bardzo się w ogólnym budzecie przyda.

W kilka miesięcy po ukończeniu żaloby — zawarł wieczysty ślub w małym kościółku na Kahlenbergu pod Wiedniem.

Wiadomość ta, podana w kurjerach, jak każda spóźniona wiadomość o ludziach, nie będących już w modzie — nie wywarła na nikim najmniejszego wrażenia.

— Nie pojmuję — wyraził się jakiś dowcipniś — jak można drukować w kurjerach nekrologi o ludziach, którzy od kilku lat już nie żyją.

Upłynęło kilka miesięcy.

Młoda, jak to mówią — i dobrana para — bardzo rychło po ślubie przekonała się, że stula na całe życie ich ze sobą... rozłączyła.

Księżnę zaczął trochę nudzić ten coraz częstszy brak gotówki, niezapłacone rachunki i oszczędności, które trzeba było na każdym kroku kombinować.

Żenował ją też wspaniałomyślnie jej udzielony przez grzeczość tytuł księżny, do którego praw już nie miała. Przypominały jej się pod tym względem czasy, kiedy była metresą księcia Witke-Aschenborgha, a nie żoną.

Tak krótko się cieszyła tem prawdziwym księstwem, które sama porzuciła... A teraz ono nie wróci się już!

Pozatem powinna była przecież już wiedzieć, że zupełnie co innego — mąż, a kochanek. A zapomniała o tem, Prawda! Kochała go!

Nie pamiętała, że co innego jest widywać się codziennie przez dwie godziny na dobę, a co innego przez dwadzieścia i cztery.

Małomówność kochanka działa na nerwy; małomówność męża denerwuje. Gdybyż tylko małomówność!

Lecz nieubłaganym katem miłości okazał się ten wiecznie wspólny dach, wspólna jadalnia, sypialnia, tak blizka, że aż słychać z niej chrapanie i ta niewygoda wspólnego cabinet de toilette, w którym spotykała go co rano z nieuczesanemi włosami, w wątpliwej czystości piżamie, woniejącej jakby stęchlizną nie zbyt młodego już ciała!

I ten stały kaszel jego ranny, charakterystyczne, jemu tylko właściwe chrzkanie i sposób wycierania nosa! Brz!...

Nie chodziło już oddawną o Dekamorka. Lecz teraz z pod pięknego Apolla wysuwał się starzejący się pan Apolinary. Ach! To już nie dawny musujący szampan. To — zwiędziały Apolinaris!

Ten negliż fizyczny i moralny! I ta myśl o tym wieczystym aż do grobowej deski współlokatorze! I te dwa ciała, te dwie dusze, dwie indywidualności, ocierające się wciąż o siebie! I te przyzwyczajenia każdego, nałogi, gusty, humory — to wszystko ma być podzielane, tolerowane, znoszone bez wybuchu, bez buntów, w jakiejś wiecznej jagnięcej beznadziejnej uległości! Ależ — to są okowy!

I w kilka miesięcy po zdarciu oślepiającej różowej gazy szału — Irena zupełnie trzeźwo poczęła przyglądać się badawczo swemu mężowi, zdumiona tym figlem Amora, który narzucił jej na oczy bielmo.

Jak labędź dopiero przy śmierci otwiera po raz pierwszy gardło do śpiewu, tak miłość dopiero, umierając, otwiera oczy. Teraz dopiero dojrzała go najdokładniej.

Oto Horski, pomimo, iż był renomowanym lekarzem, nie był wcale inteligentnym.

Przekonała się, że wszystko, co mówił w kwestjach społecznych, politycznych, artystycznych, wszystko, co uznawał, czem się zachwycał — było brane żywcem z ostatnich urzędowych, poczytnych dzienników, z któremi dla wygody swego leniwego umysłu solidaryzował bez zastrzeżeń.

A szczerze oburzał się na warcholstwo małych dzienników lewicowych, które wyprowadzały z bezmyślnej równowagi jego zdecydowane sądy człowieka correct, nie puszczającego się na w złym guście sceptycyzm, lub na nazywanie prawd po imieniu, czyli na cynizm mauvais genre.

Był zdecydowanym prawicowcem, monarchistą, legitymistą, klerykałem, narodowym arystokratą, zagorzalszym od wszystkich Zamojskich i Potockich razem.

Na jakąś trzecią, własną opinię, stojącą pomiędzy zdaniem sprzecznych dzienników — Horski nie hazardował się nigdy. Z ironicznym uśmiechem, dystygowanie miłującym — przysłuchiwał się tylko dziwakom, nie pojmując celu ich narażania się opinii i szkodzenia sobie w karierze.

Nie pojmował zupełnie manji, czy też sportu wyszukiwania jakichś niewygodnych mózgowych manowców, kiedy istnieją szerokie, gotowe już gościńce, prowadzące do równego celu istnienia, to jest do kariery. Zresztą uważając ludzi tego rodzaju za narwanych, unikał — o ile się dało — ich towarzystwa.

I Irena, przypatrując mu się całemi dniami swym bacznie otwartym okiem kobiety, która już nie kocha — poznała go już całego od stóp do głowy.

A więc nie był ciekawym umysłem, prawdą! Nie znał się ani na literaturze, ani na malarstwie, ani na muzyce. Doskonale!

Lecz czyż ciekawszymi byli ci wszyscy umitrowani szambelanowie dworów, arcyksiężęta, pretendenci do korony, których tytuł w życiu poznała?

— Stanowczo! Nie! Lecz tanci nie udawali; był szczerzy klubmani. A on w swoim snobizmie ustawicznie silił się na wykazanie swego znanstwa w kwestjach, o których nie miał pojęcia. I o koniach wyrażał się, jak typowy sontagsreiter. A kiedy próbował wina i koniak — kwestjonował najmylniej ich markę — aż uszy wiedły słuchać.

Nie nosiła też jego pasji popisywania się dość poprawną francuszczyzną, lecz z akcentem od siedmiu boleści, która jej na nerwy działała. I z zasady odpowiadała mu po polsku; rozmawiała zaś po francusku jedynie z osobami mówiącemi żargonem paryskim z tą dezynwolturą, z jaką ona znakomicie paplała.

I poczęła ją razić największa w nim wada, której zaobserwowania Horską nigdy nie wybaczyłby jej: Oto w porównaniu z *prawdziwymi* paniami — Horski wcale nie był „dobrze“.

Jego limitacja wielko-pańskiego ułożenia była dla prawdziwych znawców wprost rażąca, tem bardziej, iż się na nią silił i najwidoczniej lubował. W myślach nie nazywała go Ire-

na inaczej; jak „Teklą“, ostatnią najlepszą imitacją prawdziwych pereł.

Przyszedłszy raz do przekonania, że wszystko w nim jest nieprawdziwym, pogardzała i gustem jego krawatów i przesadnym zaokrągleniem ruchów i gestów, i manierowaną mową i zbytnią grzecznością wobec służby, która imponowała mu niema, lecz wyraźną pogardą dla quasi wielkiego pana.

Raziło ją w nim wszystko: I zbyt uprzejmy uśmiech i zbyt wytworny sposób podawania ręki; a już najwięcej maniera w trzymaniu noża, widelca i kieliszka z piątym palcem u ręki, podniesionym możliwie najwyżej do góry!

Voilà, un vraï précieux ridicule! — wzdygała się cała. — Typowy książę w interpretacji prowincjonalnego aktora!

Pozatem czuła pogardę — do jego zawodu, który nie wystarczałby na opłacenie ich apartamentu i na pensję kucharza!

Wydawało jej się, że ta cała jego wiedza, z którą nie zdobył się nigdy nawet na najmniejszy naukowy referat — polegała jedynie na kręcącym się w kółko małym szmaciku układnych lekarskich pytań, zadawanych ze specjalnym uśmiechem wielkoświatowego lekarza swoim salonowym pacjentem.

Najbardziej wodniste lekarstwa i najbanalniejsze porady lekarskie wystarczały przecież tym urojonym wielkoświatowym chorym próżniakom.

— Jest prawie tak dystygowany, jak panna Marja u Hersego! Widać nie różniłam się niczem od niej w czasach, kiedy on wydawał mi się ideałem dystygowanego pana de Camors!

Lecz jeszcze i inne zarzuty w duszy mu czyniła, zdając sobie doskonale już sprawę z faktu, że połączywszy się z nim na wieki — uczyniła głupstwo nie do darowania.

Oto Horski i fizycznie nie mógł porównywać się z prawdziwie wielkimi panami w jego wieku. Sporty, treningi, polowania i życie wiejskie, połączone z umiejętnością konserwowania się — nie dopuszczają do tak rychłego psucia się nrody — jak u pracujących w murach mieszcuchów.

Faktycznie Horski zmienił się przedwcześnie: Osiwiał zupełnie i rozitył się trochę. A w 50-letniej tuszy — tonie każda uroda. Twarz straciła owal wskutek zwieszających się festonów podbródka. Pogłębione przy nosie rysy wraz z zapadłym miękkim policzkiem — znaczyły się plama-

mi swoich wklęsłości, jak u aktorów, sztucznie markujących w ten sposób charakterystycę starości.

Wąsy, ostrzyżone po amerykańsku i niepotrzebnie przyczernione — podkreślały starczą bladłość warg i żółtość tak pięknych ongi — bów.

Miała ogromną ochotę, aby masował sobie tę twarz obwisłą już, z tą brzydką szyją i z postarzającymi tak „pattes d'oise“ pod oczami. Wiedziała, że wymówi się brakiem czasu — przejęty jedynie zbyt pięknym wiązaniem jaskrawych krawatów i ohydny farbowaniem amerykańskich wąsików, którym nadawał ton lśniącego lakieru, lub szuwaksu.

I to wieczne wgłębienie na niestarannie wygolonym podbródku — raziło ją tak, jak gdyby było jakimś kalectwem!

Ani jej przez myśl nie przeszedł fakt, iż siwy już teraz, że swemi zawsze jeszcze pięknymi niebieskimi oczami, oświetlonymi równie narysowaną zrastającą się ciemną brwią — wyglądał szlachetniej, niż ongi; a uległość i smutek zawojowanego zupełnie męża — uczyniły go w krótkim czasie typowym starym panem, którego wszyscy pozornie szanują, a w głębi nie liczą się z nim — przekonani, że on już nic nie wie. Choć starsi ludzie wiedzą i rozumieją wszystko doskonale! Są tylko zacięci w swoim dyskretnym milczeniu i w bolesnej rezygnacji, ku własnej wygodzie, wśród ciężkich cierpień starości, która nie ma już siły do walki.

Trzeźwiejszem też okiem, niżby się po jego milczeniu oczekiwało — i on przypatrywał się swojej żonie.

Wiedział, że największe damy miewają, tak zwane, słabe nerwy; a w istocie napady złości, które czynią je w życiu codziennym — zupełnie nie podobnym do ich alterego dam, królujących w salonach.

Niezależnie od tego pojął, że, choć Irena swoją dworskością od święta — może nawet przewyższać największe damy; lecz na codzień w moralnym negliżu jest najpospolitszą mieszcuchką, z dużą dozą kabotynizmu.

Nie porównując jej nawet pod względem lojalności i nobliwości charakteru ze ś. p. Zosią, musiał nieboszczce oddać tę sprawiedliwość, że i w codziennym życiu była stokroć bardziej delikatną i taktowną od księżny Witke-Aschenborgh! Cóż? Kiedy pomimo tych wszystkich zalet tej pięknej młodej pierwszej żony, Horski nigdy fizycznie jej nie pożądał! A Irena działała niezmiennie na

jego zmysły tak, jak żadna w życiu kobieta.

On, urodzony człowiek stateczny — widział w tem jakieś przekleństwo szatanów; czuł, iż szal ten mógł go doprowadzić do najwyższych ofiar, nawet poza etyczną linię praw honoru. Nie wątpił, że od brzemienia tego wyroku — nie oswobodzi się do końca życia.

Pojmował doskonale, że przyczerpione zzewnątrz księstwo Ireny — to blaga; że w gruncie znalazł się w szponach urodzonej wielkiej kurtyzany, która wysysie go całego fizycznie i moralnie i, jak wyciśniętą cytrynę, porzuci na śmiecie.

Dalszy ciąg nastąpi.



Ach, byłaś dla mnie.

Z cyklu „Serce“.

*Ach, byłaś dla mnie jako kwat lotosu,
jako najpierwsze mých uczuć bożyszczce,
kochalem oczy i cichy dźwięk głosu,
a dziś wiem nagle, że ich nie odzyszcze.*

*W rujnie legły miłości ołtarze
i pod gruzami tulają się wota,
już cię radością żadną nie obdarzę,
bo ocalały jeno twarde wrota,*

*któreś, odchodząc, za sobą zatrzaśła.
Glucho mi dźwiękły szarpnięte
wrzeczadze,
lecz nie puściły... nie pomogły hasła,
którem im rzucił... więc wśród ruin
błądzą.*

*jak król bez ziemi, berła i korony.
Kochanką byłaś pierwszą i jedyną,
dla ciebie byłem mądry lub szalony,
a dziś mi w pustce chwile szare płyną*

*i nie wiem, czyli umarł już, czy żyje,
czyli me oczy oślepiły, czy patrza,
bo życie moje stało się niczyje,
a twarz wraz sercem czyni się wciąż
bładsza.*

*Kochalem ciebie tak, jak się raz kocha,
lecz tyś odeszła, nie chcąc mej objaty,
krwawą mi bruzdę przeorała socha,
co przez pierś przeszła, serce rwąc na
szmaty.*

*Kochanko moja — jak lotosów kwiecie,
byłaś mi życia radością i mocą,
dziś pośród ruin złych myśli zamiecie
w wirze szalonym sercem mym topocą.*

Leon Chrzanowski.



To, co pociąga kobiety.

Kalikst znów, jeżeli się śmieje, to tylko przez uprzejmość. Nie bowiem nie wydaje mu się zabawne i najlepszy dowcip nie przedstawia dlań wartości.

Kalikst jest zawsze poprawny, chociaż o tym nie pamięta, nie przywiązuje do tego wagi. Ma sposób mówienia powściągliwy, o wszystkich wyraża się z chłodną życzliwością. Dobry sport przekłada zresztą nad najlepsze towarzystwo. Samotności się nie lęka, lubi władzę i czynność. W kobiecie podoba mu się zarówno cienkość duszy, jak cienkość przegubów. Ceni rasę, ceni kulturę, a jeżeli zdarzy się, że czymś pogardza, to nie wspomina o tym zupełnie.

Kalikst jest ostatnim słowem rasy. Posiada mnóstwo cech zadziwiających — przeciw raczej cech reprezentanta typu, niż osobistych. Na smukłych ramionach nosi wysoko głowę małą o konturze nieskazitelnej. Z twarzy suchej i wygolonej patrzą oczy o źrenicach matowych, o szczupłych, nasuniętych wazko powiekach. Kalikst jest wysoki, wygimnastykowany i zgrabny, wszakże jeżeli się obraca, to już cały. Ta pewna sztywność ruchów nadaje tylko więcej siły jego pięknej postaci. To też prócz rasy i kultury Kalikst ceni jeszcze siłę, ponieważ ją posiada. Jest przeto w zgodzie ze swoim typem. Nie pragnie być innym, niż jest. I tam, gdzie w danej chwili jest, jest mu dobrze.

Kalikst jest, jak symbol. Można myśleć, że kryje się poza nim coś niezwykłego, coś jedyne. Można poświęcić wiele czasu, by go odgadnąć. I zarazem, właśnie jak niektóre symbole, ma sens dosłowny, byt samoistny i wystarczający — nawet gdyby niczego sobą nie wyrażał. — Dlatego w Kalikście kochają się zarówno młode panny, oczarowane na balu wiedzą taneczną i famą bogatego epuzera, jak doświadczone niewiasty, odgadujące pod maską salonowca — mistrza instynktu, jakąś najwyższą instancję życia.

Zdaje się jednak, że w gruncie rzeczy Kalikst jest bardzo prosty i niczego nie udaje. Postępuje zawsze tylko tak, jak należy, nie ponadto. Jest do głębi opanowany, zorganizowany w myśl najbardziej racjonalnej ekonomii organizmu — i stąd płynie wewnętrzna harmonia jego natury i życiowa energia, pociągająca ku niemu łaknące mocy serca kobiety.

Z. Rygier-Nalkowska.



*Widzę trzech topól we mgle mary,
Gdy pola zmierzch otuli szary, —
Stoja, nie wiedząc, w którą stronę
Iść przez te pola omroczone, —
Jak żałobnice, jak trzy duchy,
Czuwają rzędem w ciszy głuchej...*

*Gdzież to pójdziecie: na wygnanie?
Czy na słoneczne zmartwychwstanie?
Czy w światły jasne, czy też w mroki
Kierują się dziś wasze kroki?*

*Dokoła spustoszone lany
I kraj we krwi i łzach skapany —
Groza przez puste wieje pole,
Gdzież to pójdziecie, o topole?...*

*Księżyc już zairzał w nurty strugi,
Jakże był dzień czekania długi!
I długa będzie noc czekania
Od zmierzchów szarych — do zarania!*

*Byle się tylko wciąż łączyły
Konary wasze — ile siły!
Byle pnie wasze twardo stały,
Jak wojska we dnie wielkiej chwały!
Byleście tylko wciąż przy sobie
Trwały, jak siostry trzy w żalobie!*

*...Widzę dalekie topól mary,
Gdy pola zmierzch otula szary —
Jak żałobnice, jak trzy duchy,
Czuwają rzędem w ciszy głuchej...*

Zuzanna Rabska.

Józef Conrad.

Przekład z angielskiego
przez H. J. P.

W oczach Zachodu.

39

POWIEŚĆ.

— Tak. — Skinęła potakująco głową i zaważała się na chwilę.

— A jednak muszę przyznać się panu, że nie przestanę wyczekiwać tego dnia, kiedy wszelka niezgoda zamilknie. Wyobraź pan sobie ten świat. Burza walk i złorzeczeń minęła; mowe słońce wschodzi, i zmęczeni ludzie łączą się nareszcie, smutni, choć zwycięzcy, bo tyle idei musiało zginąć, by zatriumfowała jedna, tyle ofiar tryumf ten okupiło. A onj czując się samj na świecie, łączą się tem ściślej. Tak; przeżyć będzie trzeba jeszcze wiele gorzkich godzin!... Ale przyjdzie dzień, kiedy wszystkie niedole zatoną w niezgłębionem morzu miłości.

To było ostatnie słowo, słowo tak słodkie, a tak gorzkie i okrutne czasem, jakie usłyszałem z ust Natalji Haldin. Ciężko mi pomyśleć, że nigdy już nie spojrzę w uśmiechy tej dziewczyny, poślubionej niezachwianej wierze w przyjscie wszechpojednania, wyrastającego, jak niebiański kwiat z ziemskiej gleby, przesiąkniętej krwią, poszarpanej przez walki i tonącej w łzach.

Nadmienić tu muszę, że w owym czasie nie wiedziałem nic o wyznaniu, jakie pan Razumow uczynił zgromadzonemu w domu Laspary rewolucjonistom. Natalja Haldin odgadła może, jaka to była ta „jeszcze jedna rzecz“, która mu pozostała do zrobienia; ale tego moje Zachodnie oczy nie dojrzały.

Tekla, była dama do towarzystwa pani de S... przesiadywała

wciąż przy szpitalnem łożu nieśczęsnego młodzieńca. Spotkaliśmy się parę razy przy drzwiach tego zakładu, ale wiadomości, jakie udzielała mi o Razumowie, były skąpe. Przychodził zwolna do zdrowia; miał jednak pozostać bezwładnym kaleką na resztę życia. Co do mnie, nie chodziłem do niego i nie widziałem go już nigdy od tego straszliwego wieczoru, kiedy byłem mimowolnym świadkiem tego, co zaszło pomiędzy nim a panną Haldin. W swoim czasie wypisano go ze szpitala i jak mnie objaśniono, zabrała go gdzieś jego „krewna“.

W dwa lata potem wiadomości moje w tym względzie uzupełniły się zupełnie przypadkowo, dzięki spotkaniu rewolucjonistki, Zofji Antonowny, w domu pewnego niepospolitego Rosjanina wolnomyślnych przekonań, który czasowo zamieszkał w Genewie.

Był on zupełnie innego rodzaju znakomitością, niż Piotr Iwanowicz. Wysoki, ciemnowłosy, o łagodnych oczach, wykwinny, acz nieco wstrzemięźliwy w obejściu. Skorzystał z chwili, kiedy nikogo w pobliżu nie było, i zbliżył się do mnie w towarzystwie żwawej, siwowłosej kobiety w pasowej bluzce.

— Nasza Zofja Antonowna pragnie poznać się z panem — rzekł. — Zostawiam więc państwa, byście mogli swobodnie porozmawiać.

— Nie nanzucalabym się panu z moją osobą — zaczęła siwowłosa dama — gdyby mnie nie obarczono zieleniem do pana.

Owem zleceniem było parę słów przyjaznego pozdrowienia od Natalii Haldin. Zofia Antonowna wróciła właśnie z tajemnej wycieczki do Rosji i widziała się z panną Haldin. Ta ostatnia mieszkała w jakimś mieście w środkowej Rosji, dzieląc swoje miłosierne prace pomiędzy przepelnione więzienia i nędzę osieroconych rodzin. Nie szędziła trudów, zapominając w zupełności o sobie, jak mnie zapewniała Zofia Antonowna.

— To wierna dusza, niezłomny umysł i niezmordowane ciało — dołała z odcieniem uwielbienia.

W ten sposób zawiązana rozmowa przeciągnęła się oczywiście. Usiedliśmy na uboczu, gdzie nam nikt przeszkadzać nie mógł. Opowiadając mi o pannie Haldin, Zofia Antonowna zauważyła nagle:

— Pan zapewne przypominasz mnie sobie? Widziałeś mnie pan tego wieczora, kiedy Natalia Haldin przyszła do Piotra Iwanowicza po adres niejakiego Razumowa, tego młodego człowieka, który...

— Przypominam sobie wybornie — rzekłem.

Gdy Zofia Antonowna dowiedziała się, że jestem w posiadaniu pamiętnika Razumowa, zapragnęła koniecznie zobaczyć ten dokument i otwarcie powiedziała mi, że przyjdzie nazajutrz, i prosi, bym go jej pokazał.

Jakoż przyszła i przez parę godzin przeglądała chciwie kartki rękopisu, poczem zwróciła mi go z lekkim westchnieniem. Jeżdżąc po Rosji, widziała również Razumowa. Mieszkał nie w środkowej, lecz w południowej Rosji w małym, drewnianym domku, w pobliżu jakiegoś miasteczka. Był zniechęcony, chory, słabszy z dniem każdym, a Tekla Samarytanka pielęgnowała go niezmordowanie z czystą radością bezinteresownego poświęcenia. Tu jej żadne rozczarowanie nie groziło.

Nie tałem przed Zofią Antonowną mego zdziwienia, że ona właśnie odwiedziła pana Razumowa. Nie rozumiałem poprostu, w jakim celu i z jakiego powodu. Ale Zofia Antonowna oświadczyła mi, że nie była wyjątkiem w tym względzie.

— Wiele z pomiędzy nas zawsze go odwiedzają, gdy są w tamtych stronach. Jest inteligentny... Ma swoiste poglądy... I mówi też bardzo dobrze.

I teraz to po raz pierwszy usłyszałem o publicznym wyznaniu pana Razumowa w domu Juljusza Lasparry. Zofia Antonowna opowiedziała mi to z najdrobniejszą szczegółami, tak jak to słyszała z ust samego Razumowa w domu Juljusza Laspa-

ry, a patrząc na mnie bystro swemi czarnymi, błyszczącymi oczyma, dołała:

— W życiu każdego człowieka bywają złe chwile. Jakieś błędne mniemanie zrodzi się w umyśle i wtedy budzi się obawa — obawa samego siebie, obawa o siebie. A może to jest jakaś fałszywa odwaga — któż to wie? Zresztą nazwij pan to, jak zechcesz, ale powiedz mi, czy wielu ludzi wydałoby się tak świadomie na zgubę (jak sam to powiada w tym pamiętniku), zamiast żyć dalej, w tajemnym poniżeniu we własnych oczach? Czy wielu by się takich znalazło?... I, zauważ pan, proszę, że gdy to czynił, był zupełnie bezpiecznym. Uczynił to właśnie wtedy, kiedy zauważył, że jest bezpiecznym, a co więcej, co nieskończenie więcej, kiedy spostrzegł, że ta zachwycająca istota gotowa jest pokochać go. Tak; wtedy przekonał się, że ta szatańska robota jego dumy i nienawiści, wszystkie wewnętrzne walki nie zdołają zwyciężyć nikczemności tego życia, jakie miał przed sobą. Otóż, twierdzą stanowczo, że aby dojść do takiego przekonania, trzeba posiadać niepospolity charakter.

Przyjąłem to twierdzeniu w milczeniu. Któż chciałby spierać się z cudowną mocą przebaczenia lub litości? Jednakże pokazało się wnet, że w tem współczuciu była pewna skrucha, do jakiej świat rewolucyjny poczuwał się względem zdrajcy Razumowa. Zofia Antonowna mówiła bowiem dalej z pewnem zakłopotaniem:

— A przytem, widzisz pan, temu człowiekowi stała się krzywda. Krzywda niedozwolona. Nic jeszcze nie postanowiono, co się z nim zrobi. Wyznał dobrowolnie. A ten Nikita, który, jak panu wiadomo, zgniół mu bębni w uszach wrzekomo pod wpływem oburzenia, ten Nikita to... to był łotr najgorszego gatunku; sam zdrajca, przeniwierca, szpieg! Razumow powiedział mi, że zarzucił mu to jakby w przystępie jasnowidzenia.

— Widziałem przelotnie to wstrętne bydlę — rzekłem — i nie pojmuję, jak ktokolwiek z was mógł się dać choć na chwilę tak oszukać, by mu wierzyć.

Przerwała mi:

— Daj pan pokój. Nie mówmy o tem. Gdy go po raz pierwszy zobaczyła, przelekłam się go. Zakrzyczano mnie. Mówiliśmy sobie zawsze: „Och! nie trzeba zważać na jego powierzchowność!“ A przytem był on zawsze gotów do mordu. To nie ulegało wątpliwości. Mordował — tak! w obu obozach! Nikczemnik!

I ta Zofia Antonowna, powściągnawszy gniewne drżenie ust, opowiedziała mi bardzo szczegółną historję. Zdarzyło się, że radca Mikulin, podróżując po Niemczech (niezadługo po zniknięciu Razumowa z Genewy), spotkał się w wagonie z Piotrem Iwanowiczem. Będąc sami w przedziale, rozmawiali ze sobą długo w noc i wówczas to Mikulin, naczelnik policji, dał poznać arcyrewolucjonistę prawdziwy charakter arcy-mordercy żandarmów. Wyglądało to tak, jak gdyby Mikulin chciał się być pozbyć tego swego osobistego agenta. Może się mu zdziwił, może się go bał. Trzeba dodać, że Mikulin odziedziczył straszliwego Nikitę po poprzedniku w urzędzie...

I tę wiadomość przyjąłem również bez komentarzy, utrzymując się w charakterze niemego świadka rosyjskich czynów i faktów, rozwijających swą Wschodnią logikę przed memi Zachodnimi oczyma. Pozwoliłem sobie jednak na jedno zapytanie:

— Proszę mi powiedzieć, Zofio Antonowno, czy panj de S... zostawiła cały swój majątek Piotrowi Iwanowiczowi?

— Ale gdzież zaś! — rewolucjonistką wrzuciła z niesmakami ramionami. — Umarła bez testamentu. Gromada siostrzenic i siostrzeńców zleciała się z Petersburga, jak stado sępów, i żarli się pomiędzy sobą o spadek. Wszystko kammerherry i damy dworskie. Wstrętne typy.

— Nie słyszy się teraz jakoś o Piotrze Iwanowiczu — zauważyłem po chwili.

— Piotr Iwanowicz — rzekła Zofia Antonowna poważnie — połączył się z wiejską dziewczyną.

Zdumiałem.

— Co? Na Rivierze?

— Ale gdzież zaś! Co za niedorzeczność — zaprzeczyła Zofia Antonowna nieco szorstko.

— Więc mieszka w Rosji! Ależ to szalone ryzyko — zawołałem. — I wszystko dla wiejskiej dziewczyny? Niema mu panj tego za złe?

Zofia Antonowna milczała chwilę tajemniczo; poczem oświadczyła:

— Uwielbia ją.

— Doprawdy? W takim razie mam nadzieję, że ta uwielbiana będzie go bijać!

Zofia Antonowna wstała i zaczęła się ze mną żegnać, jak gdyby nie słyszała mego bezbożnego życzenia, ale już we drzwiach, dokąd ją przeprowadziłem, odwróciła się i rzekła stanowczym głosem:

— Piotr Iwanowicz jest natchnionym człowiekiem.

K O N I E C.

Złota podkowa.

Opowieść o Hugonie Norwidzie, artyście-muzyku, który odnalazł bratnią duszę w pięknej, młodej pannie z kresów naszych, jest tematem pracy p. Emilii Wielowiejskiej, autorki posiadającej już w swoim dorobku kilka utworów beletrystycznych. Nowa ta powieść „Złota podkowa” nie rozszerza zupełnie możliwości artystycznych p. Wielowiejskiej. Jest narracją bez wykorzystywania nawet masujących się sposobności do zadzierzgnięcia węża akcji. Temat „Złotej podkowy” obraca się około neurastenii Hugona Norwida, a później zjawia się jasna wysłanniczka, odkupicielka Elza wprawdzie nie z Ilamermoru, lecz z Wrzósów, i nazywa się Dowiałtówna. A rezultat — małżeństwo. Opowieść więc nawet dla pańienek mogłaby mieć dużą wartość, gdyby nie duch przekory, który młodym dziewczętom wpycha w ręce książki o przygodach bardziej skomplikowanych. Albowiem „Złota podkowa” pełna jest idealnego na świat patrzania. Wierzy w czyste dusz obcowanie. Teoretyzuje dużo i bogato w słowa na temat sztuki, Weimingera i miłości — ale w fabule swojej jest, jak płowe westchnienie pięknej starości.

Poszczególne postaci w „Złotej podkowie” nie przekonywują też swoją realnością. Są utkane z jesiennych promyków „babięgo lata”. Zatracają się przytem zupełnie w jasnym kolorystycznym tła.

Stosunkowo najciekawsze stronicę są te, które mówią o przyrodzie włoskiej lub naszej, kresowej. Główny bohater jest też za neurasteniczny. Autorka twierdzi, że jest on wielkiej miary artystą. Artysty bywają różni, ale wszyscy są przez swoją pracę, przez swój wysiłek. P. Wielowiejska nie pokazała go wcale w ten sposób w swojej powieści.

„Złota podkowa” cieszyć się będzie powodzeniem wśród czytelników wiejskich. Mogłaby nawet dla pańien kresowych służyć za piękny model uszczęśliwiania różnych genjuszów narodowego parnasu.

Śmiertelny bieg.

Romansiem współczesnym nazwał p. Tadeusz Konczyński swoją najnowszą pracę „Śmiertelny bieg”. Jest to historia pewnej uroczej i młodej p. Jadwigi, która chciała, by ją wziął w swoje ramiona zawrotny wir upojenia i szału. Przeniosła ten szal nad odpowiedzialne życie. Spotkała kiedyś w Alpach młodego uczonego, Michała Rosława. Spotkanie było dziwne, przygodne. Przypadek szalejącego huraganu nanizął na dusze ich struny szczerości. Zastłuchali się w siebie. Powstała między nimi nić sympatii, która przerodziła się w miłość.

Ale czym jest taka miłość! Spokojną taflą lazuruwej otchłani życia wewnętrznej. Na taką miłość nie stać Ja-

dwigę. A zresztą ona jest kobietą. Musi czuć wokół siebie adorację, uwielbienie. Głodna próżność czeka na łupy. I oto znajdzie się pusty, błyskotliwy a zamożny Otowicz, który choć ma opinię nie bardzo ciekawą, ale potrafi nęcić, i ten poprowadzi Jadwigę na ślubny kobierzec. Przedtem będzie musiał się jeszcze rozwieść z żoną, która już dawno z nim zerwała.

Czem się skończy ten szal romansowy? Otowicz urządzi podróż poślubną swego przyjaciela w ten sposób, by mieścić miodowy można było przepędzić, jak w kontredansie: changer les dames. Jadwiga nie bierze w tym udziału, ale za to Otowicz co noc wykrada się na schadzki do specjalnego hotelowego numeru. Wreszcie gra w ruletę. Zgra się do nitki. I szal skończy się krwawo: Otowicz strzelił sobie w łeb i ciężko ranił Jadwigę. Tak zamknie się kinematograficzna opowieść o zwyrodniałym, pustym i głupim Otowiczu. Tak smutno też musi boleć na szpitalnym łóżku p. Jadwiga, ciężko pokutująca za upojenie. Przy łóżku zjawia się Anioł Stróż... Michał Rosław, ten odraunowy...

A sens tego romansu? Bardzo moralny, ale nie radzę czytać go dla tych względów. Lekkomysłna Jadwiga została ukarana za swój krok, a przy łóżku znajduje się Rosław, cnota tryumfująca — ale cała opowieść jest taka nienaturalnie perwersyjna, że raczej należy ją brać do ręki, jako dokument objawu zgoła wyjątkowego. Pisana jest łatwo i płynnie. Nosi na sobie wszystkie znamiona pracy Konczyńskiego. Nie wyróżnia się jednak ani ujęciem, ani obrobieniem tematu, a miejscami, słychać jakieś dalekie echa przybyszewszczyzny, tylko bez tej magii słowa, jakim rozporządza poeta: Nad Morzem.

Od Nidy do Styru.

Wzruszającą jest ta książka, pełna prostych, dorywczo kreślonych wspomnień bojowych i wrażeń osobistych Tadeusza Pannienki, żołnierza z pod sztandaru pierwszej brygady. Pierwszy jej rozdział mówi o drogach trudu odbytych „Przez Królestwo”, w drugim rozdziale znajdujemy garść obrazów z „Poleskich błot...”

Dwa rozdziały — dwie karty dziejów tragedji polskiej. Jak jednak ten żołnierz reaguje prosto a po męsku na wszystkie te dole i niedole! Jak mierzy się ze śmiercią!

Spojrzyć w oczy tej niemilosiernej — nie należy do rzeczy łatwych. Pannenko westchnie tylko:

„Przeziórków! Ile tam życia zastygło, ile krwi zakrzepło? Kto zapamięta imiona tych, co tam leżą wśród płomienych znaków? Co tam imiona! Był i przestał być!

Nie ma czasu na tklivość. Obowiązek wzywa do trudu. Wykopie towarzyszy dół i zatknie zgruba wyciosany krzyż. To wszystko.

Humor przytem nie opuszcza go nigdy. Jest w tym rasa. Uczucie niezro-

zumiałe dla wielu poważnych obywateli, którzy nigdy nie mierzyli śmiercią swoich myśli.

Jakże piękny jest Łas biadający nad rozerwaną czapka. Odeprze hardo zarzuty:

— „Stenka! Byś i ty nieboże, kiejby ci orzełka i wierzch ta wydarło, a ciałki nowej znikaj nie dostaniesz. Ot, psiemienso, nie mógł kaj indziej trafić”.

Albo taka wcale miła piosenka:

„Apostolski gienyrot
Raz psysienne odbirot!
Wiara strasnie się ciesyła,
Renki, nogi podnosiła, —
Taka ci frajda była”.

W girlandzie wspomnień Pannienki znajdują się takie stronicę, jak „Konary”, „Kamionka”, „Wysokie-Litewskie”, „Na przyczółku mostowym pod Kolkami”, „Na pozycji pod Kołodją”. Czyż same tytuły nie mówią o krwawej męce i znoju żołnierskim?

Prosta kronikarska notatka, wspominając boje o „Polską Górę”, mówi:

„Ze świtaniem znów stanął Polski Lasek w wybuchach granatów — w huraganowym ogniu. W pierwszych dwóch godzinach naliczono w promieniu stu kroków od ziemianki Berbeckiego 272 wybuchy ciężkich granatów. Ziemianka jednak stała nienaruszona — Berbecki spokojnie „urzędował”.

W tych kilku zdaniach jest grecki heroizm epepei.

Książka wspomnień bojowych p. Tadeusza Pannienki jest dokumentem nie tylko żołnierskim. Z motaż tych wyziera dusza zaprawna w hart, odzywa się zapomniany głos prostego męstwa, nie znającego pozy i draperji. I mówi humor polski, który nawet w obliczu śmierci spowiada się ze swojej radości życia.

W huk dział wplotła się pieśń.

W huk dział wplotła się pieśń smętna p. Janiny Tomaszewskiej-Malanowskiej. Pod tego rodzaju tytułem wydała więc autorka te swoje utwory poetyckie. Na całość złożyły się wiersze ujęte w podtytuły: „W purpurze polskiej krwi”, „Jak ta z Jeryho róża niewiednaca”, „Legenda”, „Ziarna płołunne”, „Ballada”, „Z pod wieków opytu”, „Baśń” oraz wiersze „różne”.

Utwory te posiadają wartość dość różnorodną. Są jednak stosunkowo więcej wyczelowane od dawniej wydanych p. t. „Z krainy piękna i miłości” lub „Byle sercem rozgorzeć”. W każdym razie nie spotyka się już teraz rzeczy banalnych. Każdy wiersz świadczy o kulturze literackiej. Na tony szczerego wyznania i pięknej prostoty zdobywa się p. J. Tomaszewska-Malanowska w sonecie p. t. „Powrót”.

